

TADEUSZ CHRZANOWSKI

**KSIĄDZ WŁADYSŁAW GÓRZYŃSKI  
JAKO PROMOTOR NOWOCZESNOŚCI  
W ARCHITEKTURZE SAKRALNEJ \***

W r. 1911 odbył się w Krakowie zjazd ludzi zajmujących się problemami ochrony zabytków na terenie wszystkich trzech zaborów. Materiały tej narady, pomyślanej jako pierwsze tego rodzaju spotkanie, ukazały się drukiem w następnym roku. Jest to swoisty „biały kruk”, wydawnictwo bowiem ukazało się w niewielkim nakładzie, a mająca wkrótce nastąpić burza dziejowa nie przyczyniła się do zachowania zbyt wielu egzemplarzy. I trzeba wyraźnie powiedzieć: lektura tamtych, sprzed blisko osiemdziesięciolecia pochodzących wypowiedzi, daje współczesnemu czytelnikowi bardzo wiele do myślenia<sup>1</sup>.

Dla mnie osobiście stał się on jeszcze jednym dowodem na to, jak wiele wiedzieli i jak szeroko widzieli nasi poprzednicy sprzed dwóch i trzech pokoleń. My bardzo często popadamy w pychę i krótkowidztwo, żywiąc przekonanie że tylko nasza epoka zgłębiła tajniki mądrości, osiągnęła prawdziwie skuteczne metody naukowe, że tamci ludzie z początków naszego stulecia nie byli, w porównaniu z nami prawdziwymi uczonymi, ale sympatycznymi choć trochę śmiesznymi dyletantami. Ta pycha i krótkowidztwo jest jednak następstwem nieprzewalczonej młodości z jej grzechem pierworodnym: zadufaniem i niewiedzą.

Im częściej przyszło mi zaglądać do „Sprawozdań Komisji Historii Sztuki PAU”, do „Tek Grona Konserwatorów”, nie mówiąc o wielkich dziełach tamtej epoki, tym bardziej umacniał się we mnie szacunek do wielkiej cierpliwości, pracowitości i swoistej pokory tamtych naszych przodków w dyscyplinie. Owoce owej

\* Artykuł niniejszy jest nieco zmienioną i powiększoną wersją referatu wygłoszonego w dniu 25 października 1985 r. na II Zjeździe Miłośników Ojczystych Zabytków w Krakowie.

<sup>1</sup> *Pamiętnik I Zjazdu Miłośników Ojczystych Zabytków, Kraków 1912.*

ogromnej pracowitości i wiedzy jakimi są *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, *Bibliografia Estreichera*, dzieła O. Kolberga, Z. Glogera i całego zastępu innych nie tylko uczonych, lecz pasjonatów nauki — są dla nas i będą dla następnych pokoleń fundamentami. I dopiero zapoznawanie się z takimi dziełami uświadamia, że my — dumni mieszkańcy tego nieudanego stulecia — jesteśmy niedouczeni, ale proporcjonalnie do tej niewiedzy zadufani w sobie. I czytając ów *Pamiętnik* wyobrażałem sobie to wspańnię gremium: uczonych w tużurkach i cwikierach — z brodami, z zegarkami na dewizkach, należycie zaokrąglonych kanoników i prałatów, artystów w pelerynach i z rozwichrzonym uwłosieniem głów i bród (to drugie przynajmniej na oko nie zmienia się z upływem czasu).

Mogłoby się wydawać, że ludzie ci — pochłonięci swymi stanowiskami i powołaniami — mało się interesowali otaczającą ich rzeczywistością. Tymczasem to właśnie oni pracowali wytrwale i ... skutecznie nad ocalaniem spuścizny stuleci. I pracowali „społecznie” choć tak swych działań nie nazywali, ponieważ uważali to po prostu za swój obowiązek, a nie za łaskę świadczoną innym. A także pracowali patriotycznie, co się tak pięknie przejawia w zapomnianym dziś słowie „ojczyste”. Proszę pamiętać o dacie, niepodległość Polski była już wówczas stosunkowo bliska, w zasięgu ich żywotów, ale oni o tym nie wiedzieli, nikt nie wiedział, spoglądając na ówczesny europejski establishment, oparty na „nie naruszalnych porozumieniach i traktatach”, można było uwierzyć, że taki stan politycznej aberracji trwać będzie jeśli nie wiecznie, no to w każdym razie przez całe pokolenia.

A oni w tej beznadziejności i bezperspektywiczności zbierali się, radzili i ofiarowywali jakąś bardzo piękną część samych siebie, by ocalać to co było do ocalenia. No i żeby położyć kropkę nad „i”: oni naprawdę — w zakresie teorii — wiedzieli już wszystko, co należało wiedzieć o ochronie zabytków. Późniejsze pokolenia dopracowały technologię działań, ale w sferze kanonów, w sferze doktryn oni naprawdę wiedzieli już to samo i jeszcze więcej w porównaniu z tym, co my dzisiaj wiemy.

Można by skomentować wszystkie zawarte w owym *Pamiętniku* wypowiedzi, by się o tym przekonać, mnie wszelako uderzyła szczególnie jedna, autorstwa ks. Władysława Górzeńskiego, ponieważ — po pierwsze: znalazła się w tomie jako wyraz świadomości, że ludzi poświęcających się ratowaniu zabytków powinna w niemniejszym stopniu interesować i angażować sprawa tego, co powstaje jako dzieło wyrażające naszą epokę, jako dzieło, które zabytkiem stanie się w przyszłości, a po drugie — ponieważ prelegent domagał się wówczas tego, co dopełniło się na naszych oczach. Ten proboszcz z Raciążka, wsi położonej na „kresach”

świętego imperium rosyjskich carów, po prostu wyprorokował to co się miało dokonać, przede wszystkim jako owoc Vaticanum Secundum. Że mieliśmy dotychczas natchnionych wieszczów i płomiennych wodzów — wiadomo. Czy mieliśmy jednak proroków? Przecież tyłu Polaków staralo się stać nimi, ale ich dobrymi chęćmi wybrukowany jest polski sektor w wiadomej otchłani.

No więc ja śmiem twierdzić, że mieliśmy jednak proroka — wrocławskiego profesora seminarium i proboszcza w niegdysiejszym mieście nad Wisłą: Władysława Górzeńskiego.

Urodził się w 1856 r. w Kaliszu<sup>2</sup>, gdzie ukończył gimnazjum. Studiował w Seminarium Duchownym we Wrocławku i tam w r. 1880 otrzymał święcenia kapłańskie. Pełnił funkcję proboszcza w Białotarsku, Przedeczu i Zduńskiej Woli. W 1905 r. na własną prośbę zwolniony z obowiązków duszpasterskich rozpoczął, mimo wkraczania w pięćdziesięciolecie swego życia, studia z zakresu historii sztuki w Krakowie i Grazu. Po powrocie otrzymał wspomnianą parafię w Raciążku, miasteczku niegdyś wrocławskich biskupów i ich siedzibie, a zachowane tam ruiny zamku otoczył opieką, opracował w monografii i ostatecznie przeprowadził przekazanie ich Towarzystwu Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Późno — w 1918 r. został kanonikiem katedralnym, a dwa lata później zmarł 24 września 1920 r.

W czasie swej działalności we Wrocławku walczył przyczynił się do powołania przy kurii Komitetu Artystyczno-Budowlanego Diecezji Kujawsko-Kaliskiej, zajmował się wrocławskim Muzeum Diecezjalnym (tak strasznie rozgrabionym w dobie okupacji hitlerowskiej), pisał prace naukowe<sup>3</sup>, rozpoczął też — jako pierwszy — wykłady z zakresu historii sztuki chrześcijańskiej we wrocławskim Seminarium Duchownym<sup>4</sup>. O jego pisarstwie kontynuator wrocławskich tradycji naukowych — ks. Stanisław Librowski napisał zwięźle a trafnie: „W artykułach tych widać dużą nowoczesność poglądów autora na sztukę kościelną oraz chęć wprowadzenia nowych form architektonicznych na miejsce tradycyjnych XIX-wiecznych w budownictwie kościelnym”<sup>5</sup>.

Oczywiście Wł. Górzeński nie był ani jedynym historykiem sztuki wśród kleru przełomu stuleci, ani jedynym, który propagował nowoczesne poglądy w zakresie ochrony zabytków, ale jednak dość wyjątkowym właśnie w rozważaniu jaką powinna być w

<sup>2</sup> Główne dane biograficzne podają: nekrolog pióra R. Filipskiego w „Kronice Diecezji Kujawsko-Kaliskiej” 1921, s. 7—12 oraz S. Librowski, biogram w PSB t. VIII s. 459 n.

<sup>3</sup> A. Bochnak, *Zarys dziejów polskiej historii sztuki*, Kraków 1948 s. 19.

<sup>4</sup> S. Chodyński, *Seminarium Wrocławskie*, Włocławek 1904 s. 291.

<sup>5</sup> St. Librowski, biogram cyt.

XX w. sztuka religijna, sztuka stojąca na usługach Kościoła. Trzeba wspomnieć koniecznie tak zasłużonych ludzi, jak ks. Antoni Brykczyński (1843—1913), który dawał realne wskazówki odnoszące się do budowy, utrzymania i ozdabiania świątyni oraz wciąż jeszcze wykorzystywany mały przewodnik ikonograficzny<sup>6</sup>, jak uczone cysters z Mogiły — o. Gerard Wojciech Kowalski (1881—1919), który jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na potrzebę ochrania architektury wiejskich kościołów drewnianych<sup>7</sup>, jak tytan pracy archiwalno-inwentaryzatorskiej ks. Jan Wiśniewski (1876—1943) bez którego monografii dekanatów, miast i poszczególnych parafii trudno by się dziś historykowi sztuki poruszać pomiędzy Wisłą a górną Wartą, lub jak ks. Aleksander Bastrzykowski (1879—1958) autor monumentalnego dzieła o drewnianych kościołach w diecezji sandomierskiej<sup>8</sup>.

Pojawienie się, wśród polskiego kleru, całej grupy ludzi zainteresowanych sztuką, więcej — zaangażowanych w to, by wyprowadzić architekturę i sztukę religijną z głębokiego kryzysu, w który popadły w XIX w. jest zjawiskiem znamionym. Oby ich i dziś nie zabrakło!

Powróćmy teraz do tematu głównego: do referatu, który w 1911 r. ks. Wł. Górzyński wygłosił w Krakowie. Warto przy okazji dodać, że temat ten poruszał on i przy innych okazjach, jak o tym świadczą artykuły zamieszczone w „Architekcie”.

Krakowski referat to generalny atak na neogotyck. My obecnie mamy na problematykę tego stylu pogląd już nieco inny, ostudzony perspektywą czasu, a chwilami nawet o zacięciu brązowniczym<sup>9</sup>. Ale w chwili gdy ks. Wł. Górzyński podejmował swą filipikę ów styl stawał się wyraźnie anachroniczny, nie odpowiadający swej epoce ani formą, ani rozwiązaniami funkcjonalnymi.

Atak dotyczy zresztą nie tylko neogotyku, ale całego historyzmu jako tendencji starającej się przywrócić sens minionym, histo-

<sup>6</sup> Biogram opr. przez M. Banaszaka w SPTK t. I s. 222—233. Dołączona bibliografia obejmuje 326 pozycji.

<sup>7</sup> Biogramy: G. Schmagera w PSB t. XIV s. 547—549, oraz F. Stopnickiego w SPTK t. II.

<sup>8</sup> O ks. Janie Wiśniewskim pisał: W. Wójcik w: ABMK t. 6: 1963 s. 278—294. Jego dorobek liczy kilkadziesiąt pozycji, przy czym najcenniejszą dokumentacją są ukazujące się dość regularnie, najpierw w Radomiu, a następnie w Mariówce tomiki *Monografii dekanatów: diecezji kieleckiej, sandomierskiej i częstochowskiej*, a także monografie miast i poszczególnych parafii. Ks. Aleksander Bastrzykowski jest autorem niezwykle cennego dzieła: *Zabytki kościelnego budownictwa drzewnego w diecezji sandomierskiej*, Kraków 1930.

<sup>9</sup> Podstawowym, jak dotąd, polskim dziełem omawiającym problematykę neogotyku w Polsce, to: T. S. Jaroszewski, *O siedzibach neogotyckich w Polsce*, Warszawa 1981.

rycznym stylem. Jak długo neogotyck poszukiwał własnego wyrazu, szukał w średniowieczu natchnienia — spełniał podobną rolę jak renesans poszukujący wzorca w antyku. W momencie gdy zaczął już tylko kopiować przeobraził się w styl sztuczny i martwy.

Tezę swoją Wł. Górzyński oparł na bardzo prostym dowodzeniu: obserwując wstecz rozwój architektury kościelnej, dostrzegł ową nieustanną zmienność, ową nieprawdopodobną umiejętność asymilacji i adaptacji. Od starochrześcijańskich — italskich czy małoazjatyckich bazylik, poprzez gotyk, renesans i barok (a można by tu dołączyć jeszcze klasycyzm) Wł. Górzyński dostrzegał łatwość dostosowywania się do kanonów, które wspólnie wypracowywali Kościół i służący mu artyści, nie zatrzymując się nigdy w miejscu i odrzucając wszystko to co przestawało być aktualne. Określa to jako zgodność architektury kościelnej i świeckiej, ale sądzę, że można by tu wprowadzić pewną korektę, chodziło bowiem nie tylko o zewnętrzne znamiona stylowe, ale także o głębszą problematykę dostosowywania architektury do funkcji.

Z tego punktu widzenia neogotyck, a także inne style historyczne, byłyby do któregoś momentu w dziejach XIX w. zgodne z ogólniejszymi tendencjami. Ale aktualne były tak długo, jak długo historyzm był aktualny przy wznoszeniu rezydencji, budowli użyteczności publicznej i miejskiej architektury mieszkaniowej. Niewątpliwie jednak historyzm w architekturze kościelnej był trwalszy niż w innych jej odmianach: uporczywość w budowaniu strzelistych „katedr” można tylko porównać do obyczaju budowania neogotyckich poczt w dawnym zaborze pruskim<sup>10</sup>. U Wł. Górzyńskiego, a także w toczonej po referacie dyskusji, można było dosłyszeć krytykę działalności Jana Sasa Zubrzyckiego, co chyba wynikało nie tyle z faktu, że stał się on jakby monopolistą w budowaniu kościołów na terenie ówczesnej Galicji, ale także stąd, że uprawiał fantastykę naukową, mającą uzasadniać jego poszukiwania „stylu narodowego”<sup>11</sup>. Zagrały ambicje (spór z Wł. Ekielskim) i zapewne trudny charakter tego niewątpliwie uzdolnionego architekta, w którego dorobku było sporo oryginalnych i udanych realizacji. Faktem jest, że gdy w dyskusji podjęto obronę neogotyku (ks. Stefan Szydelski) wskazano na dzieło innego architekta jako na wzór doskonałości: na lwowski kościół św. ELżbiety projektowany przez Teodora Talowskiego<sup>12</sup>.

<sup>10</sup> Najwięcej uwagi poświęcił temu zagadnieniu M. Kornecki, *Tendencje artystyczne architektury kościelnej w pierwszym stuleciu diecezji tarnowskiej*, „Currenda” 1986 nr 1—3, passim.

<sup>11</sup> P. Krakowski, *Teoretyczne podstawy architektury wieku XIX*, ZNUJ „Prace z Historii Sztuki” z. 15, 1979.

<sup>12</sup> Z. Beiersdorf, *Architekt Teodor Talowski. Charakterystyka twórczości w: Sztuka 2. połowy XIX wieku*, Warszawa 1973 s. 201.

Można by wskazać na inny jeszcze aspekt sprawy: na realizację, która powstała z inicjatywy ks. Wł. Górzyńskiego, a która należy do typowych właśnie dzieł neogotyckich. Otóż przyszły krytyk neogotyku w okresie pełnienia funkcji proboszcza w Przedeczcu zamówił u Józefa Piusa Dziekońskiego projekt nowego kościoła, który stał się pastiszem słynnego późnogotyckiego kościoła św. Anny w Wilnie<sup>13</sup>. Może jednak to właśnie doświadczenie skłoniło dawnego proboszcza z Przedecza do podjęcia krytyki neogotyku, jako stylu panującego ówczesnie na podzielonych obszarach ojczyzny.

Niezależnie jak dziś oceniamy koncepcje Sasa Zubrzyckiego, ale także innych współczesnych mu architektów — właśnie T. Talowskiego, Piusa Dziekońskiego, S. Szyllera, Z. Mączyńskiego i wielu innych, były to poszukiwania „stylu narodowego”, które równolegle podejmowano ówczesnie w rozmaitych krajach. Czy jednak „gotyk wiślanobałtycki” był A.D. 1911 przejawem myśli nowej, czy konserwatyzmu? Nie bez przyczyny Wł. Górzyński powoływał się na naukę społeczną Leona XIII! Na tym tle owe „strzeliste katedry” były już ówczas anachronizmem nie tylko artystycznym.

Autor wypowiedzi nie postulował żadnego określonego kierunku stylowego. Jako człowiek mądry i widzący szeroko problematykę architektury sakralnej, pozostawiał te sprawy do rozwiązania architektom. Interesowała go przede wszystkim funkcja budowli sakralnej w rozpoczynającym się dopiero stuleciu: w jaki sposób mogła ona najlepiej służyć swym społecznościom parafialnym?

Z tego punktu widzenia krytykował wydłużone prezbiteria, nadmiernie hierarchizujące uczestnictwo w ofierze mszy św., nadmiernie separujące od niej masy wiernych. I możemy tu dopatrywać się antycypacji nowego postulatów, który wobec architektury współczesnej wysunął II Sobór Watykański: przybliżenie ołtarza do „ludu”, włączenie go w działanie liturgiczne poprzez zwrócenie kapłana ku wiernym.

Kwestionował też Wł. Górzyński triumfalizm wież, które według niego pochłaniały lwią część kosztów budowy. Obecna atrofia wież, ich redukcja do szkieletowych najczęściej konstrukcji dzwonnicy, też się w jakiejś mierze sprawdziła.

Ale najbardziej zaskakujące i wybiegające w przyszłość są rozważania o potrzebie w obrębie budowli sakralnej pomieszczeń

<sup>13</sup> O kościele w Przedeczcu zob.: KZSP t. 11 *Województwo bydgoskie* pod red. T. Chrzanowskiego i M. Korneckiego, Z. 18; Włocławek i okolice, opr. W. Puget i M. Paździor, (w druku). O całej grupie kościołów wzorowanych na wileńskiej św. Annie, m.in. w Przedeczcu, referat na sesji Lubelskiego Towarzystwa Naukowego w r. 1985 wygłosił T. S. Jaroszewski (w druku).

specjalnych, np. kaplic przedpogrzebowych, chrzcielnych, a przede wszystkim wewnątrz ogrzewanych, gdzie można by nawet w najzimniejszych porach roku bez narażania zdrowia pełnić posługi religijne, np. spowiedzi. Dziś, wobec ogromnego, choć z konserwatorskiego punktu widzenia rzadko zadawalającego, rozwoju systemów grzewczych, co zapewnia ogrzewanie całych wewnątrz kościelnych, postulat ten brzmi minimalistycznie. Pamiętać jednak należy, że wysunięty został jeszcze przed I wojną światową, kiedy o takowym ogrzewaniu jeszcze się „nie śniło”, tak więc uwagi ks. Wł. Górzyńskiego wybiegały w przyszłość.

Nabardziej wszelako zdumiewa to, co powiedział on na temat nauczania w kościele i gromadzenia się wiernych w innych niż liturgiczne celach. Niech mi będzie wolno zacytować tu fragment owej wypowiedzi (s. 83): „Przez wieków osiemnaście nie tylko moralność, ale i oświata były w rękach Kościoła. Wiek XX sekularyzował szkołę i usiłował pozbawić Kościół cywilizacyjnego przewodnictwa. Lecz oto staje na czele Leon XIII, któremu Opatrzność wyznacza dokonanie epokowego zwrotu w dziejach Kościoła i na kopule bazyliki św. Piotra wywiesza nowy sztandar z napisem: «praca społeczna», a do podwładnego sobie duchowieństwa woła: «wyjdźcie z zakrytych». Odtąd wszystkie organizacje społeczne katolickim duchem owiane mają prawo do szczególnej opieki Kościoła. Kto zaś przyłożył rękę do rozpoczęcia jakiegokolwiek pracy tego rodzaju, ten wie najlepiej z doświadczenia, że jedną z największych trudności w początkach działalności, dla braku funduszy, jest brak odpowiedniego lokalu. Jakże właściwą tedy rzeczą jest, ażeby Kościół jako opiekun tego rodzaju instytucji, w murach swych świątyń wytworzył ubikację odpowiednią, salę akustyczną, zaopatrzoną w siedzenia i wszelkie sprzęty i przybory w tym celu potrzebne, aby ułatwić organizację tego rodzaju stowarzyszeń. We Francji i Portugalii, gdzie już nastąpił rozdział pomiędzy Kościołem i państwem, gdzie już wygnano katechizm ze szkoły elementarnej, a nawet i u nas tego rodzaju sala okazałaby się bardzo pożyteczną dla nauczania dzieci katechizmu. Słowem, jak widzimy, żywotny organizm Kościoła ustawicznie wyłania ze siebie coraz nowe potrzeby, które domagają się dla siebie coraz to nowych ubikacji w obrębie świątyni.”

W Roku Pańskim 1987 tak sformułowany postulat, dotyczący formy nowoczesnej świątyni, musi zdumiewać, skoro właśnie wielofunkcyjność wewnątrz, wchodzących w skład współczesnej architektury kościelnej, stała się problemem dyskusywanym już od szeregu lat i często w sposób nader żarliwy. Należy zresztą niezbędnie pamiętać, że budowle sakralne (nie tylko zresztą katolickie, ale szczególnie katolickie) od samego zarania realizowały funkcje nie wyłącznie liturgiczne, więcej — często nic wspólnego

nie mające ze sprawami wiary. Pamiętajmy o wielowiekowej inkastelacji świątyni, o wydzielaniu pomieszczeń dla władców feudalnych (kościóły emporowe), o bibliotekach, skarbcach, baptysteriach. Oczywiście, w najwyższym stopniu ową wielofunkcyjność realizowały od zarania klasztory, zwłaszcza benedyktyńskie. Pojawiały się też inicjatywy, by użyć współczesnej „polszczyzny” (?) — prywatne, jakimi były mauzolea i kaplice grobowe rodów czy grup społecznych. To wszystko sprawiało, że architektura sakralna była albo od zarania swego istnienia, albo wskutek następujących po sobie rozbudów i dobudów, bardzo często kompleksem rozmaitych wnętrz, a w konsekwencji kumulacją rozmaitych brył. Jest to bardzo charakterystyczne właśnie w architekturze polskiej.

Wł. Górczyński poruszył też sprawę symboliki sztuki kościelnej, ale wątku tego nie rozwijał i pewne aspekty tego zagadnienia wydają się w jego tekście niedopowiedziane. O jaką bowiem symbolikę chodziło prelegentowi: o tę, którą — poprzez swą formę przestrzenną — realizuje architektura (układ krzyżowy, kopuła jako projekcja niebiosów, filarów jako apostołów-podpór, założeń portalowych jako symboliki bram raju, bram Nowego Jeruzalema, itd. ?), czy też o tę, którą do wnętrza świątyni wprowadza rzeźbiarz i malarz? Wydaje się, że księdzu Wł. Górczyńskiemu chodziło o pierwszy rodzaj symboliki, a przynajmniej o dekorację ściśle powiązaną z architekturą. W każdym razie wzmiankował te symbole (np. motywy zoomorficzne), które swój dawny sens w odbiorze współczesnym zatraciły.

Otóż wydaje mi się, że problematyka symboliki religijnej należy wciąż, i do dziś, do problemów niedostatecznie rozwiązanych, zarówno w planie teoretycznym jak i praktycznym. Nie podejmują jej ani artyści, ani przedstawiciele Kościoła, którzy w tym właśnie wypadku powinni mieć głos decydujący. Bowiem tak jak nowe formy podobnie i nowe treści niesie ze sobą czas, owa heraklitejska rzeka, w którą dwakroć wstąpić nie sposób. Dziś mówi się i powtarza nieustannie: „sacrum”, problematyce tej poświęca rozmaite sympozja<sup>14</sup>, ale na dobrą sprawę nikt nie wie co to takiego. Stoimy dziś wobec konieczności pracy nad odnową symboliki religijnej, czy może: wobec konieczności stworzenia takiej symboliki, która odpowiadałaby wezwaniom naszego czasu. We współczesnej bowiem sztuce religijnej obserwujemy równoległe nadużycie symbolu i jego atrofię, a obie te postawy krańcowe świadczą o trwałości kryzysu w tej dziedzinie.

Nowa architektura sakralna, a więc materia przetworzona przez architekta w formę, właśnie się na naszych oczach zaczęła realizować i proces ten, aby był skuteczny, musi trwać nieustannie,

<sup>14</sup> Sympozjum takie odbyło się w r. 1985 w Rogoźnie, a materiały z niego mają się wkrótce ukazać w Wydawnictwie „Znak”.

bowiem nie ma w dziejach ludzkości statyczności i „nowoczesność” jest mitem, rozwiewa się jak dym zaledwie zdąży się ukonstytuować i musi ustępować miejsca kolejnej „nowoczesności” — równie przemijającej.

Jeszcze u progu lat trzydziestych budowano po naszych wsiach i miastach neogotyckie „katedry”, ale pierwsze jaskółki nowego poczucia formy pojawiły się wyraziście przed drugą wojną światową. Można tu przykładowo wymienić kościół w Borku Fałęckim w Krakowie z kulisowo ustawionymi oknami, wspianą białostocką rotundę Oskara Sosnowskiego, kościół Nazaretanek w Warszawie (Karol Jankowski) czy parafialny w Podkowie Leśnej (Brunon Zborowski).

Prawdziwa jednak fala nowej architektury pojawiła się na całym świecie, a pomimo przeszkód i utrudnień także wreszcie i u nas, po Soborze Watykańskim II<sup>15</sup>. Nie jest moim zadaniem ocenianie tej architektury i nie jest to zresztą nawet możliwe wobec braku jej należytej rejestracji i dokumentowania. Można jednak z całą pewnością stwierdzić dwie rzeczy. Po pierwsze — z uwagi na rozmaite warunki w jakich powstawały kościoły: prawne, społeczne i materiałowe — ich jakość techniczna, a zatem i kształt architektoniczny pozostawiają sporo do życzenia. Tam jednak, gdzie budowa mogła być realizowana w spokoju, z możliwością pieczołowitego opracowania projektu i niemniej pieczołowitej realizacji, otrzymaliśmy w licznych przypadkach dzieła wybitne i wyraźnie wyrastające nad to, co zalewa nasz kraj i co nie jest z pewnością architekturą, ale wyłącznie budownictwem. Po drugie — niezależnie od oceny poszczególnych realizacji czy nawet całych grup kościołów powstałych w ostatnich dziesięcioleciach — trzeba stwierdzić, że mamy już wyraźnie do czynienia ze zjawiskiem, którego nie da się wyeliminować z rozwoju architektury: do krajobrazu kulturowego zarówno gotyckich jak i neogotyckich katedr, do barokowych czy klasycystycznych świątyni w Polsce, współczesność dopisała swój nowy, z pewnością oryginalny rozdział.

I niech mi będzie wolno podzielić się, przybraną w formę dygresji, obserwacją, która coraz silniej mnie umacnia w przekonaniu, że nie jest możliwe budowanie jakiegokolwiek „stylu narodowego” drogą robienia pastiszów z przeszłości. Interesującymi epizodami były w dziejach naszej architektury zarówno „styl wiślano-bałtycki”, „styl zakopiański”<sup>16</sup>, jak też „styl dworkowy” — wszystkie kolejno, po okresie zachwytów, po okresie potępień i

<sup>15</sup> M. E. Rosier-Siedlecka, *Posoborowa architektura sakralna*, Lublin 1979.

<sup>16</sup> A. Brykczyński, *Czy „styl” zakopiański jest właściwy dla kościołów?* „Przegląd Katolicki” R. 39: 1901 nr 49 s. 778—780.

wreszcie rehabilitacji przeszły do historii i nie pozostawiły progenitury. Stały się nawet jakimś „stylami narodowymi”, ale nie dlatego, że naśladowały przeszłość, ale dlatego że wytworzyły pewien własny zespół cech stylowych. W tym samym bowiem stopniu „narodowymi” stały się realizacje gotyckie (np. kościoły Kazimierza Wielkiego), renesansowo-manierystyczne realizacje kręgu lubelskiego czy barokowe świątynie, w których dokonano adaptacji włoskiego stylu „do nieba i obyczaju polskiego”.

Stąd płynie wniosek, że jedynym autentycznym sposobem tworzenia „stylu narodowego” w architekturze, to po prostu wznoszenie budowli zgodnych z doświadczeniem i estetyką swej epoki. I dlatego sędzę, że polskie kościoły lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i obecnych tworzą na naszych oczach jakąś zupełnie nową tradycję narodową. To że my jej jeszcze dostrzec nie potrafimy, to nie jakaś nasza indywidualna miopia, ale normalny proces asymilacji świadomości do narastającej rzeczywistości i ... vice versa.

Stąd płynie jeden podstawowy wniosek: należy oczekiwać od architektów, że podołają zadaniu, które stawia przed nimi czas, w którym przyszło im żyć. Musimy mieć do nich zaufanie, ale niechże oni i do nas je mają: przecież nie budują dla minionych, ani nawet — mimo nadziei, że tak może być — dla przyszłych stuleci, ale właśnie dla tego jedynego niepowtarzalnego czasu, w którym sami zatrzymali się, choć rzeka — płynąc — w każdej chwili się przeobraża.

Więc jeszcze jeden cytat z zakończenia referatu ks. Wł. Górzyńskiego (s. 85): „Ale i to rzecz niewątpliwa, że uwzględnienie przez współczesną architekturę kościelną tych potrzeb, które w ciągu wieków się zrodziły, musi z konieczności wytworzyć nowe kształty, nowe typy kościołów, jak to miało miejsce przez wieków osiemnaście. Nowe zaś kształty otworzą pole dla artystycznych pomysłów. Skoro zaś owe pomysły zrodzą się w głowie artysty, którego serce przejęte będzie duchem głębokiej wiary i zrozumieniem języka alegorycznego Kościoła czyli symboliki, potrafi on w murach świątyni zjednoczyć tak kontrastowo przeciwne sobie linie — poziomą i pionową i da początek nowemu stylowi, którego z takim upragnieniem wszyscy wyczekujemy”.

\* \* \*

Ale teraz można i nawet trzeba postawić pytanie: jak to wszystko co ks. Wł. Górzyński napisał przed tyloma laty i co teraz omówiłem w perspektywie współczesności, ma się do problemów konserwatorskich, a więc do zadania, które stawiamy sobie wszyscy, by nie tylko ocalać od zapomnienia, ale także od głupoty i złej woli?

Otóż zgodnie z zaprezentowanym tu poglądem o trwaniu i nieustannej zmienności krajobrazów kulturowych, konserwator nie może być w żadnym przypadku obojętny wobec tego, co powstaje bieżąco i co dołączone zostaje do owej spuścizny, która stanowi główny temat jego zainteresowań. Zabytki nie istnieją w izolacji (a o tym też już wiedzieli tamci dawni panowie-miłośnicy!), znajdują się w stale zmieniającym kontekście krajobrazu kulturowego. Konserwator musi być świadom zjawiska, że — pomimo jego wysiłków — ani nic nie trwa wiecznie, ani też nie może być zatrzymany czas, skupiający w sobie dwa elementy: niszczyielski i twórczy.

Starożytni wyobrażali symbolicznie wieczność pod postacią węża pożerającego własny ogon. Konserwatorzy powinni zdawać sobie sprawę (zwłaszcza że zdawali sobie sprawę z tego ich poprzednicy sprzed lat osiemdziesięciu), że muszą pilnie obserwować współczesną architekturę i współczesne sztuki plastyczne. Niestety trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że wszystko co się znajduje wokół nas, a pośród tego także wytwory ludzkie, skazane jest na zagładę. My tu jesteśmy tylko po to, by ten wyrok możliwie najdalej odsunąć w przyszłość. Fakt nieuchronności zagłady materii musi być głęboko zaryty w świadomości konserwatorów, jako też wszystkich zaangażowanych w ocalenie zabytków, ale nie po to, by obezwładnić nasze myśli i działania, ale po to, by je jeszcze bardziej wyteńczyć, a także i po to, by ów wąż, który wprawdzie sam siebie połyka, ale połykaniem tym zarazem i odradza, proces ten dokonywał w formie możliwie pięknej i cennej. Można nie lubić węzów, to kwestia indywidualnych gustów, ale w tym wypadku to tylko symbol. „Kształt czasu” to proces otwarty i ciągły, a konserwator winien mieć także własne, niezaprzeczalne prawo do oceny i do współtworzenia tego kształtu.

I w takim rozumieniu konserwator nie może stać obojętnie wobec przemian, które obejmują także otaczający nas krajobraz kulturowy. Nie jest zresztą obojętne dla zabytków, w jakim znajdują się kontekście: czy w otoczeniu dobrej architektury, czy w socrealistycznej panoramie kopających kominów lub dehumanizujących człowieka blokowisk. Zwłaszcza, że i samo pojęcie zabytku wymaga precyzowania w tym względzie, że nie tyle i nie tylko tworzy go wpływ czasu, ale także wartość estetyczna i artystyczna.

Są takie budowle, które stają się zabytkami niemal w tym samym momencie, gdy wywieszona zostaje na nich „wiecha”, lub w momencie w którym malarz odkłada pędzel, a rzeźbiarz dłuto. Czas nobilituje do rangi zabytków tylko dzieła późniejsze, tylko ewentualne egzemplarze ginących gatunków, natomiast „samostanowienie” zabytków dokonuje się z punktu widzenia ich kształtu w czasie, w którym powstały, gdy poprzez swój kształt (ro-

zumiany bardzo szeroko i przenośnie, więc jednocząc pojęcia treści oraz formy) stawały się tego czasu świadectwem<sup>17</sup>.

Uważam, że często, stanowczo zbyt często konserwatorzy, czy w ogóle ludzie zainteresowani zabytkami „ojczystymi” pozostają obojętni, albo apriorycznie krytyczni wobec tego co „nowe”, a co tworzy ich własna epoka. Uważając współczesność za wcielenie diabła i jego brzydoty, nieświadomi są tego, że ich poprzednicy to samo uważali o tym, co oni sami uznali za „zabytkowe” i otoczyli czcią.

Reasumując: jak długo konserwator (a ja wolałbym zamiast tego biurokratycznego określenia to bardziej romantyczne: „miłośnik zabytków ojczystych”), czyli ten kto postanowił swe wysiłki i trud poświęcić ochronie spuścizny przeszłości, nie będzie uczulony na współczesność, będziemy — nawet bez świadomości tego faktu — popadać w tendencje pastiszowe, stylizacyjne, w konserwatorską minoderię, która wcale nie jest korzystna dla zabytków, jeśli będzie chciała wypełnić ich otoczenie makietami i falsyfikatami. Jedyna słuszna droga, to zgodzić się na koegzystencję starego z nowym, ale oczywiście temu nowemu trzeba postawić warunek kateryczny: aby zgodnie prezentował podstawowe zadanie architektury i sztuk pięknych — stawanie się kształtem czasu.

<sup>17</sup> Wątek ten starałem się rozwinąć w artykule: *Waloryzacja zabytków — wspomnienia, doświadczenia, refleksje*, „Ochrona Zabytków, R. XXIX: 1986 nr 2 (153) s. 95—101.